



© Wydawnictwo WAM, 2010

Redakcja
Zofia Palowska

Projekt okładki
i opracowanie graficzne
Krzysztof Błażejczyk

Fotografie:
Janusz Kaźmierczak OFM Cap.

ISBN 978-83-7505-510-8

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254–256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl



<i>S</i> tyczeń	7
<i>L</i> uty	39
<i>M</i> arzec	55
<i>K</i> wiecień	67
<i>M</i> aj	103
<i>C</i> zerwiec	129
<i>L</i> ipiec	141
<i>S</i> ierpień	161
<i>W</i> rzesień	179
<i>P</i> aździernik	205
<i>L</i> istopad	237
<i>G</i> rudzień	263

Rajski ptak jest jednym z najbardziej niebywałych stworzeń pośród świata ożywionego. Nie tylko ze względu na swój wspaniały wygląd, ale też dla niezwykłości sposobu, w jaki prezentuje bogactwo swego upierzenia w trakcie tańca godowego, co stawia go praktycznie poza jakimkolwiek innym gatunkiem znanym na ziemi.



Ktokolwiek szczęśliwym trafem widział pełną choreografię rytuału sześciopiórego ptaka rajskiego – by choćby jego podać za przykład – ten łatwo zrozumie, dlaczego wielu ludzi wierzyło, iż ptaki te są duchami transcendentnymi niekalającymi się dotykaniem ziemi. Byli przekonani, że stanowią one jakąś nieuchwytną emanacją piękna, kształtu i koloru, ucieleśniającą potęgę, bogactwo i fantazję Bożego aktu stwórczego.

Rajski ptak ewoluował pośród odosobnionego piękna swych leśnych fortec na wyżynach całej wyspy Nowej Gwinei i tam pozostaje do dziś, piękny i niedostępny. Jedyne takie miejsce na świecie, gdzie można go spotkać. Żywa legenda samego siebie.

według Williama S. Peckovera



Rzym, 1 stycznia

Łagodne zimowe popołudnie. Słońcem skąpane bagienne, a osuszone przez Benito Mussoliniego, niziny pomiędzy Wiecznym Miastem a portem lotniczym Leonarda da Vinci w Fiumicino oddalają się zdecydowanie wraz z kilometrami autostrady. Jest z lekka mroźno. Samolot stoi zaparkowany w głębi lotniska przy nowoczesnym terminalu, do którego podróżnych zabiera mały elektryczny pociąg. Maszyna jest już gotowa do drogi. Pasażerowie także zajęli swoje miejsca. Start z mocą porywa nas w bezchmurne niebo. Po trzech godzinach lotu za okienkami kabiny pasażerów ukazuje się lotnisko Heathrow w Londynie. Ludzie i kierunki całego świata spotykają się tam. Mój kierunek jest ten jeden: Bangkok, ale trzeba jeszcze kilku godzin oczekiwania, aby wejść na pokład. Można sobie pozwolić na trochę lektury i nieco wędrowki po terminalu połyskującym kolorami i światłem. Tłum podróżujących nigdy nie rzędzie, bez względu na godzinę. Czas oczekiwania mija dość szybko. Jest już późno. Startujemy prosto w ciemną noc. Następny przystanek w Tajlandii.

Lot trwa bez przerwy jednaście godzin. Ze względu na znikomą przestrzeń każdy siedzieć musi prawie „na baczność” w swoim fotelu. Jest to szczególnie mało zabawne, kiedy czyjeś miejsce znajduje się w środku, pomiędzy dwoma innymi pasażerami, jak w moim przypadku. Cóż jednak począć, skoro

w potężnym dwupokładowym jumbo 747 w kabinie klasy ekonomicznej nie ma ani jednego wolnego miejsca, aby się przesiąść. Dobrze przynajmniej, że są tu dwa korytarzyki pomiędzy fotelami, więc udaje się wykonać kilka okrążeń wokół pokładu, choć nie pomaga to nazbyt wiele. Jest już druga połowa naszej skróconej lotniczej nocy. Komputer pokładowy pokazuje, że lecimy nad New Delhi. Jak to dobrze, że już są Indie. Daje to nadzieję na względnie rychłe zakończenie tego etapu podróży. W końcu nadchodzi upragnione lądowanie. Przynosi ono prawdziwy oddech ulgi, jako że jest zapowiedzią wybawienia dla zeszywniałych kończyn. Ziemia Tajlandii przybliży się do nas gwałtownie, tak że w krótkim czasie dotykamy pasa startowego. Otóż i Bangkok, stolica kraju i jeden z największych lotniczych portów tranzytowych kontynentu azjatyckiego. Mamy tu półtorej godziny postoju technicznego. Wystarczy wziąć paszport i kartę pokładową i można iść na przechadzkę. Sympatyczna, cicha i pogodna atmosfera terminalu lotniczego temu sprzyja. Ani to Europa, ani Ameryka. Po prostu Azja. Wszystko trzyma wysokie standardy międzynarodowe, ale też jest jakoś inne, bardziej łagodne i uśmiechnięte. Można na chwilę zadzwonić do Europy.

Zegar biologiczny organizmu wywołuje wrażenie, jakby to był wczesny poranek, ale zegary terminalu nieubłaganie wskazują na późne popołudnie. Czas postoju dopełnia się, a zbiorniki paliwa napełniają. Teraz nasz samolot stoi już posprzątany, odświeżony z uzupełnionymi zapasami. Wszystko gotowe do lotu. Na pokładzie szczęśliwie już nie wszystkie fotele są tak dokładnie zajęte, jak w drodze z Londynu. Na moją grzeczną prośbę miła pani ze stanowiska obsługi pasażerów jest w stanie znaleźć na zamianę inne miejsce w luźniejszej niż dotąd konfiguracji pasażerów. Wielka to ulga, ponieważ następny etap podróży non-stop aż do Sydney jest niewiele krótszy od poprzedniego. Będzie trwał planowo całe dziewięć godzin. Jest wieczór, gdzieś pomiędzy 1 a 3 stycznia. Startujemy znowu w noc, kierując się słońcu na spotkanie.

Równik pozostawiamy na północy, gdy jest jeszcze ciemno. Lecimy nadal w cieniu nocy rzucanym przez Ziemię. Słońce jest gdzieś z tamtej strony globu. Teraz widać w dali u dołu pojedyncze rozproszone na dużych obszarach światła. Jesteśmy nad pustynnymi terenami centralnej Australii. Słońce z impetem wychodzi nam na spotkanie. W Sydney jest 6.00 rano. Samolot podchodzi do lądowania od strony oceanu. Do ostatniej chwili leci nad samą wodą. Wręcz wydaje się, że rybakom w łodziach, tuż pod nami, strąci kapelusze z głów. W końcu dotyka pasa. Jest 3 stycznia. Podróż trwała trochę ponad trzydzieści godzin. Jeden dzień uleciał gdzieś z kalendarza. To już koniec na dziś.

Sydney, 3 stycznia

Teraz w Sydney czeka mnie kilkudniowa przerwa w podróży. Człowiek potrzebuje trochę czasu na taki luźny odpoczynek, na aklimatyzację i regenerację sił. Być ponad trzydzieści godzin bez przerwy w podróży, to jednak spory wysiłek. Prawda ta daje o sobie wyraźnie znać. Tym bardziej że lądowanie tutaj oznacza nie tylko zmianę klimatu czy przesunięcie wskazówek na tarczy zegarka dla dostosowania go do innej strefy czasowej, ale także zmianę pory roku. Przecież zmiana półkuli z konieczności oznacza inną porę roku. Cała ta odmiana jest bardzo gwałtowna, bowiem dokonuje się w czasie liczonym na godziny. Praktycznie oznacza to, że startując w środku europejskiej zimy – przeoczywszy niestety piękno wiosny – wylądowałem tutaj w samej pełni lata. Wszystko to razem wzięte stanowi solidny pakiet odmienności, który w połączeniu z fizycznym zmęczeniem podróżą rzeczywiście dość mocno ciąży na funkcjonowaniu organizmu. Po południu chwilami zdarzają się momenty prawdziwego *black-out*, wyłączania się świadomości, kiedy to na ułamki sekundy robi się w niej „czarna dziura”. Człowiek odczuwa to tak, jakby ktoś wyciął mu te fragmenty nożyczkami. I nie bardzo jest sposób, aby to zjawisko powstrzymać siłą woli czy nawet najmocniejszą kawą. Trzeba po prostu się wyspać. Kłopot tylko

z tym, że i spać teraz nie bardzo można, bo zegar biologiczny organizmu jest mocno zaburzony. Cierpliwości więc. Pozostaje relaks, spokojne spacery i krótkie drzemki, kiedy organizm sam je podyktuje. Czas zrobi swoje.

Sydney, 7 stycznia

Owocnie mija czas odnawiania sił w kontakcie z przyrodą południowego Pacyfiku, a także w dialogu z licznymi dziełami sztuki zgromadzonymi w Sydney. Sprzyja temu także sympatyczne wrażenie, jakie robią napotykanymi w mieście ludzie, którzy zdają się być w naturalny sposób otwarci i życzliwi. Wyczuwa się jakby odruchowo przyjazne nastawienie do obcego. Trzeba przyznać, że pośród wielkich miast naszego zachodniego świata Sydney jest jednym z miejsc bardziej zadbanych, bezpiecznych i pogodnych. Uderza tu zwyczajna, codzienna uprzejmość ludzi spotykanych przypadkiem po drodze, na ulicy czy w sklepie, kiedy się o coś ich poprosi lub zapyta. Mile to zaskakująca różnica wobec metropolii Starego i Nowego Kontynentu, gdzie raczej królują anonimowa obojętność, a często także agresja.

Sydney, 13 stycznia

To już ostatni dzień. Długie zamyślenie ogarnia mnie i zatrzymuje siedzącego na ławce nad Farm Cove, czyli piękną zatoką tuż poniżej Królewskich Ogrodów Botanicznych. Nieskazitelne głębią swego błękitu niebo jest nade mną. Powietrze krystalicznie przejrzyste pozwala wyraziście zobaczyć kontury każdej rzeczy i odcienie wszelkich barw. Słońce połyskliwie mieni się w tysięcy małych falach, jakby morskich, prowokując w nich złociste refleksy, co odrealnia całą tę scenę, nadając jej poblask starożytnej greckiej mozaiki. Malutkie świetliki naszej gwiazdy dziennej, odbite w falach pluszczących aż po przeciwległy brzeg, cieszą oko i ducha na tę chwilę, a jednocześnie odsyłają ku nieskończoności. Ktoś uprawia jogging wzdłuż zatokowego

bulwaru. Od jutra zachodni świat pozostanie definitywnie poza nawiasem mojej codzienności.

Czy tam, w tym innym wymiarze bycia, spotka mnie zaścianek czy wielki świat? Ciekawa kwestia. Odpowiedź na nią może jednak dać tylko czas.

Sydney, 14 stycznia

Czas wyruszyć z Sydney rejsem krajowym do Brisbane. W Sydney horyzontalnie przestronny i pełen światła terminal lotów krajowych daje poczucie głębokiego spokoju i wewnętrznej jasności. Ludzi jest niewiele, a oczekiwanie trwa niedługo. Lot odrzutowca przenosi mnie do Brisbane w niecałą godzinę. Tutejszy terminal jest dużo bardziej pogmatwany strukturalnie. Ma więcej przestrzeni w pionie, o czym świadczy rodzaj antresoli czy jakiegoś półpiętra. Jest tu jednak zdecydowanie mniej światła. Do tego wszędzie wokoło kręci się sporo ludzi, co daje efekt pewnego zamieszania i nie-spokoju. Na tablicach informacyjnych można już zobaczyć numer wyjścia na lot do Papui-Nowej Gwinei. Mam jeszcze sporo czasu na oczekiwanie, ale pod oknami terminalu widać stojący jakiś samolot sygnowany: Airniugini. To zapewne będzie ten mój. W sali oczekujących odnotowuję kilkoro ludzi wyglądających na Papuasów. Tak przynajmniej mi się wydaje, na ile pamiętam widziane wcześniej fotografie. Czy oni aby są prawdziwi? Chyba tak, bo czekają przy wyjściu oznaczonym: Port Moresby. To tam właśnie, gdzie prowadzą moje drogi.

Zegary terminalu pozwalają z wolna przybliżyć się godzinie odlotu. Została jeszcze chwila czasu na ostatnią kawę z herbatnikiem. Dobra okazja, aby wydać resztę australijskiej waluty. Samolot Airniugini, flagowej kompanii lotniczej Papui-Nowej Gwinei, Boeing 767, lecący do Manili, zabiera mnie na pokład. I oto po chwili kołowania jesteśmy już w powietrzu. Obok mnie

siedzi młode małżeństwo filipińskie z dziećmi. Mieszkają na stałe w Australii. Lecą teraz na urlop do kraju swego pochodzenia, bo tutaj, jako że jesteśmy na półkuli południowej, przyszedł w szkole czas na wakacje letnie. Standardy obsługi pasażerów na pokładzie wyraźnie odbiegają od tych, jakie są przyjęte na liniach międzynarodowych. No cóż, pozostawiam nasz zachodni świat naprawdę, a nie na niby.

Dwie godziny i czterdzieści minut. Tyle trwa lot z Brisbane do kraju rajskiego ptaka. Teraz widać już u dołu Port Moresby. Choć właściwie trudno powiedzieć, żeby było widać coś, co kojarzy się z widokiem miasta widzianego z lotu ptaka. Poza zielonymi wzgórzami, na których jaśniej rozsypane plamki domów, wieżą radaru, jednym jedynym pasem startowym oraz szarobetonowym małym terminalem, nie daje się zauważyć nic szczególnego. To jest stolica Papui-Nowej Gwineji i jedyne lotnisko międzynarodowe w tym kraju.



Port Moresby, 15 stycznia

Pobyty w stolicy jest zaplanowany na cztery dni. Zatrzymam się w domu formacyjnym braci mniejszych kapucynów w dzielnicy Bomana, gdzie znajduje się cały szereg domów różnych zakonów i zgromadzeń. Wszystkie one goszczą zasadniczo młodych zakonników, którzy odbywają studia filozoficzne i teologiczne, jako że tam też ma swoją siedzibę Katolicki Instytut Teologiczny. Czasem mówi się żartobliwie, że to taki mały Watykan w Port Moresby.

Jestem zatem w Papui-Nowej Gwinei. Czego mogę się spodziewać? Ludzie, którzy doświadczyli tu życia dłużej, powiadają, że jest to „Kraina tego, co nieoczekiwane” (ang.: *Land of the unexpected*). Czy to znaczy, że nie powinno się tu niczego oczekiwać, wyobrażać sobie i planować? A może nawet i można to robić, ale po prostu nie warto, bo i tak „to, co nieoczekiwane” zniweczy wszelkie oczekiwania? Czy też jest możliwy i taki wariant, w którym człowiek stwierdza, że warto myśleć z wyobraźnią i starać się mieć pewne strategiczne wizje, tyle że wszystko to naznaczone być musi realną gotowością na przyjęcie „tego, co nieoczekiwane”? Trudno to wszystko dokładnie wyczuć i ocenić na drugi dzień po przybyciu. Zobaczymy.



Port Moresby, stolica
Papui-Nowej Gwinei

Papua-Nowa Gwinea zajmuje połowę olbrzymiej wyspy, jednej z największych na mapie świata, której nazwa geograficzna brzmi Nowa Gwinea. Dość często bywa ona mylona z Gwineą, która położona jest w zachodniej Afryce, u wybrzeży Atlantyku. Nowa Gwinea leży tuż powyżej Australii, ale z lekka poniżej równika, a zatem znajduje się na półkuli południowej. Nazwa wyspy wzięła się stąd, że Portugalczycy, którzy odkryli ją w XVI wieku, dostrzegli uderzające podobieństwo rysów twarzy pomiędzy mieszkańcami Nowej Gwinei oraz Gwinei, jakby byli ludźmi tej samej rasy, choć faktycznie nie są. Temu skojarzeniu zawdzięczamy nazwę wyspy.

W czasach kolonialnych Nowa Gwinea została podzielona dokładnie na połowę, wzdłuż 141° południka, dla rozdzielenia wpływów Holandii oraz Niemiec i Wielkiej Brytanii. Do Holandii należała zachodnia połowa wyspy, która po uzyskaniu niepodległości przez Indonezję została przez nią anektowana w 1949 r. i teraz wchodzi w jej skład jako jedna z prowincji kraju, pod nazwą prowincja Papui. We wschodniej połowie wyspy istniały dwie strefy wpływów rozgraniczone horyzontalnie wysokim łańcuchem górskim. Część północna tej połówki była kolonią niemiecką, w dokumentach określaną jako Nowa Gwinea. Część południowa należała do Wielkiej Brytanii i była określaną jako Papua. Tę część rząd brytyjski przekazał Australii w 1904 r.. Niemcy utraciły swą kolonię po klęsce w I wojnie światowej i od tamtego czasu cała wschodnia połowa wyspy była pod protektoratem australijskim.

Kiedy Australia przygotowywała ogłoszenie niepodległości papuańskiej części swego terytorium, dyskutowano różne warianty możliwych nazw nowego państwa. Ostatecznie zdecydowano się na mechaniczne połączenie dwóch funkcjonujących już terminów i stąd wzięła się ta długa i dość niezręczna nazwa: Papua-Nowa Gwinea. Tak też państwo to zapisane jest na mapach świata od czasu ogłoszenia jego niepodległości, co nastąpiło

w 1975 r. Chłubi się ono flagą narodową, na której widnieją symbolicznie ukazane dwie wspaniałe rzeczywistości nieba i ziemi, to jest gwiazdozbiór Krzyża Południa oraz najpiękniejszy spośród gatunków rajskiego ptaka, czyli cudowronka krasnopióra (ang. *raggiana bird of paradise*). Stylizowana podobizna tego ostatniego, czyli cudowronki, jest też godłem państwowym Papui-Nowej Gwinei.

Flaga
narodowa
Papui-
-Nowej
Gwinei



W skład Papui-Nowej Gwinei, obok głównej wyspy, wchodzi około dwa tysiące osiemset mniejszych wysp pochodzenia wulkanicznego lub koralowego. Najbardziej znaczące z nich to Archipelag Bismarcka oraz Bougainville.

Port Moresby, 16 stycznia

Mamy chwilę czasu, aby z jednym bratem jako przewodnikiem wybrać się do centrum miasta. Port Moresby jest stolicą kraju

i, jak to zwykle bywa z portami, leży na brzegu, w tym wypadku na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy, w zatoce Papua nad Oceanem Spokojnym. Miasto nie jest jednak portem w znaczeniu handlowym czy transportowym. Jego nazwa odwołuje się raczej do samego położenia w zatoce, którą odkrył kapitan John Moresby w 1873 roku. Miasto zostało założone przez Europejczyków 10 lat później, w 1883 roku. Obecnie liczy około 200 tysięcy mieszkańców. Położenie na poziomie morza oraz bliskość równika sprawiają, że klimatycznie mamy tu klasyczny tropik z dwiema porami roku, deszczową i suchą.

Wykorzystujemy nasz czas na zwiedzenie kilku ciekawszych miejsc. Jedziemy zobaczyć kampus jedyne w kraju uniwersytetu państwowego. Wygląda dość sennie i pustawo. Nawiedzamy katedrę katolicką, która wydaje się jakoś nazbyt kanciasta i betonowo-szklana, jak na tutejsze klimaty. Potem przychodzi kolej na rzeczy bardziej praktyczne, a więc na wizytę w banku i siedzibie miejscowego telekomu. Później odwiedzamy lokalne targowisko, bo trzeba zrobić trochę zakupów do kuchni. Wszędzie pełno ludzi. Jeszcze zachodzimy na chwilę do supermarketu po kilka drobiazgow. Urządzony on jest całkiem w stylu europejskim i zaopatrzony na zupełnie przyzwoitym poziomie. Na koniec ruszamy, by zobaczyć gmach parlamentu, który znajduje się nieco na uboczu miasta. Jego projekt i wykonanie było podarunkiem od Australii z racji uzyskania niepodległości. Jest to jeden z niewielu kompleksów zabudowań tego miasta, gdzie można mówić o prawdziwej architekturze i to bardzo pięknej. Udaje nam się też dostać do wnętrza sali obrad i uczestniczyć w otwartej sesji parlamentu. Przemawia właśnie premier. Wystąpienie członków rządu i posłów można słuchać przez słuchawki, po angielsku albo w pidgin english.

Pierwsze wrażenia ze stolicy są raczej mieszane. Brak tu zabudowy miejskiej w ścisłym znaczeniu, choć można wskazać parę budynków wyglądających nieco bardziej sensownie. Wszędzie

unoszą się tumany kurzu, bo jest akurat pora sucha. Prawdziwy tropik nie przeszkadza miejscowym ludziom chodzić w grubych wełnianych czapkach, takich jak nasze narciarskie, choć śniegu nikt tu sobie nawet nie wyobraża. Na czterech czy pięciu skrzyżowaniach miasta są zainstalowane światła sygnalizacyjne. Jak

Gmach
parlamentu
w Port
Moresby



mi powiedziano, są to jedyne światła w całym kraju, którego powierzchnia jest większa od Polski o jakieś 150 000 km kwadratowych. No, ale dobre choć tyle, bo za to sali kinowej nie ma ani jednej w całym kraju. Ot, takie to sobie luźne impresje na tle pierwszych obserwacji i skojarzeń. Zbliży się dzień zaplanowanego wyruszenia do celu, czyli na Wyżyny (ang.: *Highlands*), tam gdzie jest ojczyzna rajskiego ptaka.

Port Moresby, 18 stycznia

Mamy dziś niedzielę. Msza św. sprawowana jest w kaplicy domu formacyjnego braci kapucynów. Żadnego z młodych braci nie

ma, bo wszyscy są na wakacyjnych wyjazdach. Jest gorąco i bardzo duszno z powodu wysokiej wilgotności. Nadszedł czas, by w końcu udać się do Mendi, które jest stolicą prowincji Southern Highlands. Cała Papua-Nowa Gwinea liczy 18 prowincji i jeden dystrykt stołeczny, wokół Port Moresby. Wyżyny topograficznie stanowią jakby odrębny kraj w tym państwie. Rozciągają się zasadniczo na osi wschód-zachód w jego północnej części. Tam żyje się i pracuje na wysokości 1500-3000m nad poziomem morza, choć to nie aż tak dużo, zważywszy, że prawdziwą wyniosłością cieszy się dopiero Mount Wilhelm ze swym granitowym szczytem sięgającym 4509 m nad poziom morza.

Brat Bill zabiera mnie na lotnisko. Okazuje się jednak, że pomimo wcześniejszej rezerwacji na pokładzie samolotu nie ma dla mnie miejsca. Jakaś grupa kobiet zajęła wszystkie. Nikt nic nie wie i nic nie potrafi poradzić. Obsługa pasażerów w ogóle nie jest zainteresowana tym faktem i nie ma mi nic do powiedzenia, nawet jednego słowa przeprosin. Jeśli nie ma wolnego miejsca, to znaczy tyle, że nie ma. I na tym koniec.

Czekamy. Po godzinie wątpliwości i niepewności okazuje się, że ktoś z grupy nie przyszedł, więc jednak będą jakieś wolne miejsca i można lecieć do Mendi. A więc dobrze, to coś pozytywnego. Jeden mały krok bliżej celu. Teraz przychodzi czas na kontrolę biletu i zdanie bagażu, ale żeby nie było za dobrze, znowu z tym są kłopoty. Okazuje się bowiem, że na krajowy bilet Airniugini nie można zabrać drugiej walizki. Trzeba więc będzie wysłać ją oddzielnie inną, czarterową linią zajmującą się transportem towarowym, South-West. Bierze ona za transport opłatę czterokrotnie mniejszą niż Airniugini, więc się opłaca. Tyle pociechy musi mi chwilowo wystarczyć, bo za to znów nie daje się ustalić terminu tego czarteru. No cóż, bywa. Trudno przecież oczekiwać tu czegoś konkretniejszego. Jestem w końcu w ojczyźnie rajskiego ptaka, która nie bez przyczyny bywa nazywana „Krajiną tego, co nieoczekiwane”.

Wszyscy pasażerowie są już na pokładzie. Turbośmigłowa maszyna podrywa się do startu. Obok mnie siedzi młody Francuz, etnolog i lingwista, mieszkający w Australii. Tutaj, a dokładnie w krainie Tari, przygotowuje swój doktorat. Nie wierzy w Bo-



Samolot Airniugini, którym lata się do Tari

ga ani w inne takie „głupstwa”. Dostrzec w nim można, jakże doskonały, amalgamat zrozumiałych idei oświeceniowych oraz bezgranicznej wiary w hipotezy stawiane przez nauki empiryczne. Wyraźnie daje się też u niego zauważyć symptomy pozytywistycznego przepychologizowania, w którym cała rzeczywistość ludzka zdaje mu się być idealnie poszufladkowana i nieodwołalnie sklasyfikowana w kanonach fizjologii, odczuć, bodźców i reakcji. Ten młody człowiek, grzeczny i kulturalny, jest wręcz doskonale hermetyczny w swych nieodwołalnych ak-

sjomatach zimnego racjonalizmu, który osobę ludzką sprowadza do materii oraz mechanizmów jej działania. Nie imają się go żadne argumenty mające charakter myślenia filozoficznego czy choćby odrobinę bardziej refleksyjnego w poszukiwaniu sensu życia. On po prostu wie wszystko ze stuprocentową pewnością. No, cóż, człowiek może zrobić z siebie taki doskonały ludzki „kalkulator” perfekcyjnie spisujący się w sekwencjach: zero-jeden. To już kwestia wyboru, który gwarantuje mu wolność otrzymana od Boga.

Czas kolejnego lotu dopełnia się, a lądowisko w Mendi, stolicy prowincji i diecezji, okazuje się być coraz bliżej kół samolotu. Tym razem już bez dodatkowych, mniej czy bardziej nieprzewidzianych, atrakcji lądujemy. Lot trwał pełną godzinę i czterdzieści pięć minut z jednym międzylądowaniem w Tari, gdzie wysiadł ten młody i wierny wyznawca ateizmu, skądinąd całkiem sympatyczny.

Mendi, 19 stycznia

Mendi to małe niby-miasteczko liczące około sześciu tysięcy mieszkańców. Określenie „niby” samo aż się narzuca, ponieważ całe to zbiorowisko domów i kilku barakowatych sklepów wokół lądowiska nie kojarzy się z miejskością w jakichkolwiek kategoriach pojętą. Mendi położone jest niezwykle malowniczo w dolinie pośród wysokich gór. Tę dolinę od południa zamyka biały urwisty klif przetkany pasmami zieleni. A samo niby-miasteczko znajduje się na wysokości około 1500 m nad poziomem morza. Wita mnie ostry, krystalicznie czysty blask słońca i lekki chłód w samo południe. Tutaj definitywnie nie ma już tropiku. I to jest to, co lubi rajski ptak: gorące słońce i posmak wysokości.

Prawdziwie jestem na Wyżynach i to się wyraźnie, wręcz fizycznie odczuwa. Rzeczywiście zachodzi tu ogromna różnica w klimacie w porównaniu z wybrzeżem. W Port Moresby mie-

liśmy cały czas 28°–33°C i wysoką wilgotność, a tutaj owszem w dzień jest 27°–28°C, ale nad ranem było już tylko 17°–18°C. Powietrze właściwie zawsze pozostaje bardzo rześkie i trudno się spocić nawet w samo południe. Zatem, patrząc od strony temperatury, jest tu dużo lżej i przyjemniej przebywać komuś z Europy czy Ameryki Północnej. Pomimo tego, że jesteśmy prawie na samym równiku, bo znajdujemy się tylko pięć stopni na południe od niego, rano i wieczorem trzeba nosić porządny wełniany sweter i skarpetki, a spać w ciepłym dresie. Wrażenie chłodu pogłębia wysoka także tutaj wilgotność powietrza. Dziś nad ranem sięgała 97 procent.

Temperatura jest bardziej przyjazna, ale za to odczuwa się tu inny klimatyczny mankament, którego nie było na wybrzeżu, a jest nim niedostatek tlenu. Po przybyciu tutaj daje się szybko zauważyć pewną trudność w oddychaniu, co teoretycznie było łatwe do przewidzenia. Wiadomo, że na takiej wysokości nad poziomem morza powietrze jest bardziej rozrzedzone, a więc też tlenu będzie dużo mniej. Tyle że wiedzieć a doznać, to są dwie różne rzeczy. Cóż, pozostaje tylko przyjąć fakty i zacząć fizycznie „równać krok” do tego, co dyktują płuca i serce, wyzbywając się wszelkich europejskich odruchów energicznego działania, szybkiego chodzenia czy intensywnego załatwiania spraw. Tego ograniczenia po prostu nie da się przeskoczyć aktem wiary czy siłą woli.

W sumie trzeba powiedzieć, że tutejszy klimat bardzo sprzyja przybyšom z krajów chłodniejszych. Trzeba tylko mieć świadomość, że od strony natury wszystko jest tutaj bardzo odmienne. Poczynając od gwiazd, które są inne. Zamiast Wielkiego Wozu z Gwiazdą Polarną mamy tu Krzyż Południa, który ma mniej więcej kształt rombu z dodatkową piątą gwiazdą na prawym boku i którego trzeba wypatrywać nisko, tuż nad horyzontem. Jest tu inna fauna i flora, także bakteryjna. I do tego nawet woda w wirach kręci się dokładnie w odwrotną stronę niż na

półkuli północnej. No cóż, jak chce się jechać na antypody, to trzeba po prostu przyjąć, że będą to antypody prawdziwe, a nie udawane.

Mendi, 20 stycznia

Jak powiadają starzy bywalcy tych okolic, interesującą rzeczą jest tutejsza dynamika zmian pogody w skali roku. Jest to dynamika *sui generis*, ponieważ pogoda przez cały rok właściwie się nie zmienia. Jest ciągle taka sama. Nie tylko że nie ma tutaj europejskich czterech pór roku, ale nie ma nawet tych dwóch typowych dla rejonów tropikalnych, a więc deszczowej i suchej. Po prostu, zawsze jest taka sama pogoda – przez cały rok. Jej wariacje zasadniczo daje się odnotować tylko w skali jednego dnia. Cóż za ciekawy klimat! Interesujące, jak będzie się to przeżywało na co dzień.

Dzięki temu specyficznemu klimatowi wszystko tutaj rośnie, kwitnie i dojrzewa jednocześnie i bez przerwy przez cały rok. Wystarczy tylko systematycznie sadzić czy siać rośliny w miejsce tych, co się zjada. A czasem nawet i to nie jest konieczne, jak to bywa z bananowcami, u których pędy same odbijają od korzenia, gdy kiść owoców jest gotowa do ścięcia. Wystarczy więc zerwać, zjeść i poczekać na następne. Trochę podobnie jest z anansem, choć jego trzeba już zasadzić. Nie jest to jednak nazbyt skomplikowane. Należy w tym celu zwyczajnie ukrećć – nie wolno ucinąć nożem – ten „pióropusz”, który wieńczy owoc ananasa, i wsadzić go do ziemi. Za sześć miesięcy kolejna generacja będzie pożywnie cieszyła zmysł smaku. I tak właściwie jest ze wszystkim, co służy do odżywiania się. Łatwość życia i przeżycia w tych wyżynnych rejonach jest dla przybysza z zewnątrz wprost porażająco niebywała. Na dobrą sprawę, właściwie nic nie kosztuje. Natomiast dla tutejszych ludzi to jest norma i zwykła codzienność.

Mendi, 21 stycznia

Spaceruję sobie trochę pośród zabudowań kwartału, gdzie znajduje się centrum naszej diecezji, a ponieważ wiedzie tędy tranzytowy szlak z miasta do jednej z wiosek, mam okazję poobserwować nieco tutejszych ludzi. Wyraźnie odróżniają się od mieszkańców wybrzeża spotkanych w Port Moresby. Co do budowy ciała są bardziej niscy i krępi, a jednocześnie silni. Są raczej proporcjonalnie zbudowani, ale dają się zauważyć ich dobrze osadzone i mocno umięśnione nogi; w końcu to przecież prawdziwi mieszkańcy gór. Wszyscy noszą już stroje europejskie, kupione na targu – czyli mężczyźni, krótkie spodnie, a kobiety spódnice. Jako góra króluje wszechobecna podkoszulka T-shirt. Przygniatająca większość ludzi chodzi boso. Czasem podobno w rejonie Tari nosi się jeszcze tradycyjne ubrania z trawy, liści i piór, ale tutaj tego się nie zobaczy. Kobiety do dźwigania produktów rolnych używają charakterystycznych toreb plecionych z włókien roślin rosnących w buszu. Nazywają je tutaj *bilum*. Zawiesza się taką torbę pasem na czole, a jej zawartość zwisa z tyłu na plecach. Potrafią w niej nosić nawet do sześćdziesięciu kilogramów różnych ciężarów! Coś trudnego do uwierzenia. Można w niej umieścić małe dziecko, słodkie ziemniaki czy cokolwiek innego.

Wszędzie widać bardzo dużo dzieci. Wręcz całe ich gromady kręcą się wokoło, wszystkie dobrze odżywione i roześmiane. Jak mówią szacunki statystyczne, średnia wieku całej populacji kraju wynosi około 15 lat. Trudno sobie coś takiego wyobrazić, przybывая z zachodniego świata starzejących się gwałtownie społeczeństw. Ludzie bardzo tu lubią dzieci i troszczą się o nie, choć bez ceregielenia się z nimi i adorowania ich, jak to często bywa w dostatnich społecznościach Zachodu, gdzie jedyne dziecko staje się rodzajem kolejnego rekwizytu czy gadżetu do popisywania się i pokazywania znajomym. Natomiast ludzi starych prawie tu nie widać i rzeczywiście jest ich bardzo mało,

bo szacunek co do średniej długości życia wynosi około 50 lat. Mowa o liczbach szacunkowych, ponieważ nikt nie wie dokładnie, ile ludzi mieszka w Papui-Nowej Gwinei i w jakim są wieku. Nie ma tu żadnego rejestru cywilnego obywateli. Nie notuje się narodzin ani zgonów. Nie istnieje żaden rodzaj dokumentu tożsamości. Społeczeństwo iście fantasmagoryczne.

Mendi, 22 stycznia

Niewielka odległość od równika sprawia, że tak dzień jak i noc mają tu prawie równo po dwanaście godzin, czyli słońce wstaje około 6.00 i zachodzi około 18.00. Ci, którzy żyją tu dłużej, powiadają, że różnica w długości dnia „latem” i „zimą” może wynosić 20-30 minut, czyli bez zegarka nie da się tego w ogóle stwierdzić. Ciekawe, iż ten podział dnia i nocy na dwie prawie równe części jest bardzo naturalny i wcale nie trzeba się do niego specjalnie przyzwyczajać.

W dzień widać na mieście wielu ludzi i dużo wszelakiej aktywności, mniej lub bardziej chaotycznej. Kręci się sporo samochodów. W nocy zaś panuje tu raczej cisza, tak że normalnie nie daje się usłyszeć żadnego dźwięku cywilizacji. No, chyba że jeden nasz sąsiad-katechista zaprosi gości na nocne pogawędki i zrobi im dyskotekę z taśmy. Ogólnie odnoszę wrażenie, że miejscowi ludzie są raczej mili i przyjaźnie nastawieni wobec ludzi białych. Gdy się idzie czy przejeżdża ulicą, chętnie pozdrawiają czy nawet chcą uścisnąć rękę, co nie jest trudne, nawet gdy się jedzie, bo podróżuje się tu zwykle z prędkością zbliżoną do prędkości pieszego. Ostrzegano mnie jednak, że przyjazne gesty nie oznaczają prawdziwej przyjaźni w powszechnym rozumieniu tego słowa. Dlatego też wybór postawy zaufania czy też roztropnej nieufności wobec tych ludzi jest odrębną kwestią i musi być podyktowany oceną konkretnej sytuacji.

Skądinąd jest też interesujące, że od czasu przylotu nie uciał mnie jeszcze ani jeden komar. To jest jedna z rzeczy, które trzeba uznać za nieco zaskakujące. Dużo bardziej mogłem naciерpieć się od komarów w innych krajach.

Mendi, 23 stycznia

Jutro jedziemy w kilka osób do stacji misyjnej Pangia, która jest jedną z najstarszych w prowincji Southern Highlands i gdzie znajduje się też nowicjat braci kapucynów. Pracuje tam trzech zakonników, a pięciu nowicjuszy z różnych stron Papui-Nowej Gwinei przygotowuje się do życia zakonnego. W Pangii nie ma elektryczności ani telefonu, w przeciwieństwie do Mendi, gdzie czasem one funkcjonują – elektryczność, zdecydowanie częściej, a telefon zdecydowanie rzadziej. W Pangii będzie czas na poznanie historii i kultury Wyżyn, a także na zapoznanie się z miejscowymi ludźmi, z ich zwyczajami i tradycjami. Tam też będzie okazja pouczyć się pidgin english, który jest podstawowym środkiem porozumienia w tej prawdziwej wieży Babel, jaką mamy w Papui-Nowej Gwinei.

Skojarzenie z wieżą Babel nie jest czysto poetyckie, lecz ma swe bardzo wymierne podstawy bez cienia retoryki czy cudzo-słowa. Terytorium Papui-Nowej Gwinei ma, z grubsza licząc, 453 000 km kwadratowych, a ludność tego kraju szacuje się na blisko pięć milionów. Otóż w tym geograficzno-statystycznym kontekście funkcjonuje około 750-800 języków. Jest to znów tylko przybliżony szacunek, bo nikt nie jest w stanie ich wiarygodnie policzyć. Zasadniczo w tej liczbie chodzi o regularnie uformowane języki, pomiędzy którymi istnieje lingwistyczna bariera nierozumienia się. Trzeba tu jednak wspomnieć, że istnieją także pomniejsze dialekty lokalne, których wyodrębnienie z języka głównego bywa czasem dość trudne. Papua-Nowa Gwinea stanowi prawdziwą oazę niezwykłości w tej materii. Jest to istny raj dla etnologów i lingwistów. Większej koncentracji

języków nie ma w żadnym innym kraju na świecie. Zasadniczym wyznacznikiem tego zjawiska zdaje się być topografia wyspy, a szczególnie Wyżyn, gdzie wysokość wzniesień, stromizma zboczy i przepaścistość górskich żlebów przez tysiąclecia skutecznie izolowała plemiona i klany nawet najbliższe sąsiadujące.

Pangia, 24 stycznia

Dziś jest sobota. Niewiele z tego wynika poza faktem, że właśnie dotarliśmy pomyślnie do stacji misyjnej w Pangii. Zająłoby to nam cztery godziny podróży z Mendi po drodze, która z pojęciem prawdziwej drogi ma wspólną tylko samą nazwę i nic więcej. Jest to taka przesieka w buszu pośród skał. Nie ma w niej dziur, ponieważ praktycznie nie ma żadnej nawierzchni. Najbliższe skojarzenie, jakie wywołuje u przybysza z europejskimi doświadczeniami turysty, to jest wyschnięte łożysko górskiej rzeki. Samochód terenowy, którym podróżowaliśmy, radził sobie jednak doskonale, no i kierowca był doświadczony. Całe szczęście, bo też podróżowaliśmy przez około dwie godziny w strumieniach potężnej ulewy. Jej wielkość należałoby zmierzyć pewnie w hektolitrach. Spadająca z nieba woda mogłaby z powodzeniem wypełnić objętość górskiego strumienia.

Jesteśmy tutaj na wysokości nieco poniżej 1500 m nad poziomem morza, co sprawia, że odczuwa się trochę więcej ciepła niż w Mendi, ale też jest dużo bardziej wilgotno. Pogoda nadal zadziwia swą wiernością, bo prawie zawsze jest taka sama: do obiadu świeci słońce, a potem chmurzy się i pada deszcz. Ten deszcz nie pada w kropkach, lecz spada w postaci jakby „sznurków wodnych”. Jedną z ulubionych zabaw małych chłopców są wyścigi, ślizganie się i mocowanie na mokrej trawie w strugach ulewnego deszczu. Ot, taka zabawka i radość dana im od Pana Boga.

Skutek takich potężnych opadów jest podwójny. Z jednej strony wieczorne zimno, choć nie tak bardzo obniżające temperaturę, bo do około 18°C, jest niezwykle przejmujące i na wskroś przenika człowieka z powodu dużej wilgotności. Z drugiej strony – wszystko tu jest pod wieczór idealnie czyste. Powietrze swą przejrzystością ubiega kryształ. Wszelkie odcienie zieleni i kolory kwiatów jaśnieją pełnym blaskiem, soczyste i nasyczone w swej głębi. Nigdzie nie uświadczy się ani pyłka kurzu.

Potem od rana jasne promienne słońce znowu pali twardymi promieniami i oślepia oczy, i natychmiast osusza wszystko wokół. Unosi się ono nieprawdopodobnie wysoko nad głową; do tego stopnia wysoko, że cień ludzkiego ciała rzucający na ziemię ma zaledwie wielkość czapki baseballowej. Promienie słońca, padając prawie prostopadle do powierzchni ziemi, sprawiają, że w dzień jest tutaj bardzo ciepło, choć bez prowokowania upału. Oddychając, nie czuje się tu nigdy prawdziwego gorąca. Górskie powietrze pozostaje z lekka chłodne nawet w południe, a gdy jedzie się samochodem, czasem trzeba wręcz włożyć czapkę, bo tak wieje zimnem. Ale też kiedy słońce trochę pogrzeje, robi się bardzo sucho i natychmiast zaczyna się nieprawdopodobnie kurzyć. Samochód na drodze wznieca całe tumany pyłu, przez który prawie nic nie widać. Kiedy ktoś przejeżdża obok, trzeba wstrzymać oddech, zaś całe otoczenie równomiernie pokrywa się warstwą pylistego nalotu, także te świeże o poranku kwiaty i zieleń. Cóż, nawet w tak przyjaznym klimacie zawsze jest jakaś niedogodność.